

GUILLAUME MUSSO

CENTRAL PARK



1

Alice

*Myszę, że w każdym z nas żyje ktoś drugi.
Nieznajomy, Konspirator, Spryciarz*.*

STEPHEN KING, *Czarna bezgwiezdna noc*

Najpierw czuje na twarzy żywy, ostry powiew wiatru.

Potem słyszy lekki szelest liści. Odległy szum strumienia. Dobiegające zewsząd ćwierkanie ptaków. Zza przymkniętych powiek odczuwa pierwsze promienie słońca.

Jeszcze później dociera do niej trzask łamanych gałęzi. Zapach mokrej ziemi, rozkładających się liści. Silna woń szarego mchu pachnącego mokrą korą.

A z jeszcze większej oddali dochodzi do niej jakieś dziwne brzęczenie, odgłos jak ze złego snu.

□

* Motta w tłumaczeniu Joanny Stankiewicz-Prądyńskiej, z wyjątkiem cytatu z Księgi Koheleta (rozd. 21), który pochodzi z *Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu* (Biblii Tysiąclecia), Pallotinum, Poznań 1998.

Alice Schäfer z trudnością otworzyła oczy. Światło dzienne ją oślepiło, ubranie było mokre od porannej rosy. Drżała z zimna, złana lodowatym potem. Czuła suchość w gardle, a w ustach smak popiołu. Stawy ją bolały, była zeszywniała i otumaniona.

Gdy się wyprostowała, zobaczyła, że leżała przedtem na ławce zbitej z surowych desek, ale nie sama: opierał się o nią całym ciężarem jakiś masywnie zbudowany facet.

Zdusiła okrzyk strachu. Serce podeszło jej do gardła. Starając się wysunąć spod przylegającego do jej pleców mężczyzny, spadła na ziemię. Niemal od razu zerwała się na równe nogi. Wówczas spostrzegła, że jej prawa ręka przyczepiona jest kajdankami do lewego nadgarstka nieznanego. Cofnęła się gwałtownie. Mężczyzna nie zareagował.

Cholera!

Serce wciąż łomotało jej w piersi jak oszalałe. Rzuciła okiem na swój stary zegarek marki Patek Philippe: miał porysowaną tarczę, ale wciąż chodził i jego wieczny kalendarz wskazywał godzinę ósmą rano, ósmego marca.

Cholera! Gdzie ja jestem?! – pomyślała spanikowana, wycierając rękawem pot z twarzy.

Rozejrzała się wokoło. Znajdowała się w samym sercu lasu pełnego złotolistnych jesiennych drzew. Poszycie było świeże, porośnięte różnorodną roślinnością. Ławka stała na dzikiej, cichej polanie wśród dębów i gęstej krzewiny, spomiędzy której gdzieś można było dostrzec występy skalne. W pobliżu ani żywego ducha. Biorąc pod uwagę sytuację, z pewnością tak

było lepiej.

Alice spojrzała do góry. Piękne, łagodne, prawie nierealne światło przenikało skrzącymi się promieniami poprzez listowie ogromnego ognistego wiązu, którego korzenie dziurawiły dywan z wilgotnych liści.

Las w Rambouillet? Fontainebleau? Lasek Vincennes? – zaczęła zgadywać w myślach.

Scena jak z obrazu impresjonistów, jak z pogodnej pocztówki... Z wyjątkiem tego absurdalnego przebudzenia obok jakiegoś obcego faceta.

Nachyliła się ostrożnie, żeby przyjrzeć się jego twarzy. Facet mógł mieć trzydzieści pięć – czterdzieści lat. Miał lekki zarost i jasnobrązowe potargane włosy.

Nie żyje?

Uklękła i przyłożyła trzy palce do jego szyi, po prawej stronie jabłka Adama. Puls, który wyczuła, naciskając tętnicę szyjną, uspokoił ją. Mężczyzna był nieprzytomny, ale nie martwy. Przez chwilę patrzyła na niego. Może go zna? Może to jakiś bandyta, którego wsadziła za kratki? Zapomniany przyjaciel z dzieciństwa? Nie... Jego rysy twarzy nie mówiły jej absolutnie nic.

Odgarnęła kilka jasnych kosmyków z czoła, które zasłaniały jej oczy, i przyjrzała się metalowym kajdankom. Był to standardowy model z podwójnym zabezpieczeniem, używany zarówno przez policjantów, jak i prywatne służby ochrony. To mogły być nawet jej własne kajdanki. Alice pogrzebała w kieszeni dzinsów w nadziei, że znajdzie tam klucz.

Kluczyka nie było, ale za to w wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki wyczuła zarys lufy. Myśląc, że znalazła swój służbowy pistolet, z ulgą zacisnęła na nim palce. Jednak to nie był sig sauer używany przez policjantów z brygady kryminalnej. To był jakiś obcy pistolet, Glock 22 z polimeru. Chciała sprawdzić magazynek, ale z jedną ręką w kajdankach... Zaczęła się wykręcać na wszystkie strony – nie chciała obudzić nieznanego – i w końcu jej się to udało. Najwyraźniej brakowało jednej kuli. Kiedy oglądała pistolet, zobaczyła na kolbie zaschniętą krew. Rozpięła kurtkę do końca. Jej koszula z obu stron również była poplamiona krwią.

Do diabła! Co ja narobiłam?!

Wolną ręką przetarła oczy. W skroniach poczuła pulsujący migrenowy ból. Miała wrażenie, że głowę ściska jej niewidzialne imadło. Odetchnęła głęboko, chcąc przegonić strach. Musi się skupić!

Poprzedniego wieczoru z trzema koleżankami robiły rundkę po barach na Champs Élysées. Odwiedziły po kolei Moonlight, Treizième Étage, Londonderry... Dużo wypła. Koło północy rozstały się i ona poszła do swego samochodu, zaparkowanego na podziemnym parkingu przy avenue Franklin Roosevelt, a potem...

No właśnie, a potem co? Nic, czarna dziura... Czuła się otumaniona, jej umysł chyba się zawiesił. Pamięć, jakby sparaliżowana, zachowała tylko ten ostatni obraz.

No, zrób wysiłek, do cholery! Co było potem???

Widziała, jak stoi przy automatycznych kasach, następnie jak

schodzi na trzeci poziom. Było oczywiste, że zbyt dużo wypła. Potykając się, podeszła do swego małego audi, otworzyła drzwi, usiadła za kierownicą i...

I – pustka.

Mimo że bardzo starała się skoncentrować, wspomnienia ukryły się jakby za ścianą z białej cegły, za nieprzeniknionym Murem Hadriana, albo gorzej: Wielkim Murem Chińskim. Nie była się w stanie przez niego przebić.

Przełknęła ślinę. Ogarniająca ją panika wzrosła o jeden stopień. Las, zakrwawiona koszula, cudzy pistolet... To nie był tylko kac po szalonej nocy. Jeśli nie mogła sobie przypomnieć, w jaki sposób tu dotarła, to z pewnością ktoś nafaszerował ją narkotykami. Może jakiś psychol wrzucił jej do kieliszka pigułkę gwałtu! Nie było to niemożliwe, jako policjantka dość często miała ostatnio do czynienia z wypadkami, w których posłużono się tym właśnie narkotykiem. Chwilowo przestała o tym myśleć i zabrała się do opróżniania kieszeni: znikł jej portfel, ulotniła się też legitymacja policyjna. Nie miała przy sobie ani dowodu osobistego, ani pieniędzy, ani komórki.

Do strachu dołączyła się rozpacz.

Zatrzeszczała złamana gałąź, płosząc stadko gajówek, które wzbily się w górę. Kilka pożółkłych liści zakręciło się w powietrzu, muskając twarz Alice. Młoda kobieta przytrzymała brodą górną część kurtki i lewą ręką podsunęła suwak. Wtedy zauważyła na wewnętrznej stronie dłoni numer wypisany bladym atramentem długopisu; był to ciąg cyfr zanotowanych w pośpiechu, jakby szkolna ściągawka, która zaraz miała zniknąć.

Co to mogło oznaczać? Czy to był jej własny zapis? Możliwe, ale wcale nie takie pewne, osądziła, przyglądając się pismu.

Zbita z tropu i przestraszona, na chwilę przymknęła oczy.

Nie wolno jej się poddać! Najwyraźniej tej nocy zdarzyło się coś poważnego. Jednakże nawet jeśli ona niczego nie pamięta, jest przecież ten facet, z którym są spięci kajdankami. Sprawa zaraz się wyjaśni. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Czy to przyjaciel, czy wróg?

Tego nie wiedziała, odciągnęła więc zamek magazynka i odbezpieczyła Glocka, celując wolną ręką w towarzysza niewoli. Dopiero teraz potrząsnęła nim gwałtownie.

– Ej! Pobudka!

Mężczyzna z trudnością dochodził do siebie.

– Obudź się, człowieku! – Alice szarpnęła go za ramię.

Mężczyzna poruszył powiekami i zdusił ziewnięcie, z trudem się prostując. Kiedy całkowicie otworzył oczy, cofnął się gwałtownie, zdumiony widokiem lufy wycelowanej kilka centymetrów od jego skroni.

Popatrzył na Alice wytrzeszczonymi oczami i zaczął się rozglądać, skonsternowany widokiem otaczającego ich lasu. Po kilku sekundach przełknął ślinę i spytał po angielsku:

– Kim pani jest, do diabła, co my tu w ogóle robimy?!

2

Gabriel

*W każdym z nas drzemie złowieszczy
nieznajomy...*

BRACIA GRIMM

Nieznajomy odezwał się z silnym akcentem amerykańskim, prawie nie wymawiając „r”.

– Gdzie my jesteśmy, do cholery?! – powtórzył, marszcząc brwi.

Alice zacisnęła palce na kolbie glocka.

– To raczej pan powinien mi powiedzieć, gdzie jesteśmy! – odpowiedziała po angielsku, zbliżając lufę do jego skroni.

– Tylko proszę się uspokoić, dobrze? – zaproponował, podnosząc ręce. – I niech pani opuści pistolet, to niebezpieczna zabawka...

Wciąż jakby nierozbudzony do końca wskazał brodą na swój ściśnięty kajdankami nadgarstek.

– Dlaczego mnie pani tym spięła? Co zrobiłem tym razem? Pobiłem się z kimś? Upiłem się i awanturowałem na ulicy?

– To nie ja panu założyłam kajdanki – odrzekła Alice, przyglądając się mu dokładniej. Miał na sobie ciemne dżinsy, conversy, niebieską zmiętą koszulę i taliowaną marynarkę od garnituru. Jego jasne łagodne oczy były zmęczone i opuchnięte.

– Nie jest tu za ciepło... – jęknął i skulił się. Popatrzył na nadgarstek, żeby sprawdzić godzinę na swoim zegarku, ale zegarka nie było.

– Ożeż...! Która godzina?

– Ósma rano.

Z trudem zaczął wywracać kieszenie marynarki.

– Wszystko mi pani zabrała! Forse, portfel, telefon...

– Niczego panu nie zabrałam! – zapewniła go Alice. – Moje rzeczy też gdzieś znikły.

– Mam porządnego guza! – zauważył, macając tył głowy wolną dłonią. – To też nie pani sprawka, prawda? – jęknął, nie oczekując żadnej odpowiedzi.

Spojrzał na nią kątem oka. Alice, smukła blondynka około trzydziestki, miała na sobie dżinsy rurki i skórzaną kurtkę, spod której wystawały poły zakrwawionej koszuli. Jej upięte w kok włosy wysuwały się spod spinek i spadały na twarz o surowych, lecz regularnych rysach, wysokich kościach policzkowych, delikatnym nosie i bladej cerze. Jej oczy, w których odbijały się miedziane kolory jesiennych liści, błyszczały intensywnie.

Uczucie ćmiącego bólu biegnącego wzdłuż przedramienia oderwało go od rozmyślań o niej.

– Co znowu? – westchnęła Alice.

– Bardzo mnie boli... Jakbym miał tu ranę! – Skrzywił się.

Kajdanki nie pozwalały mu zdjąć marynarki ani podciągnąć rękawów koszuli, ale wykręcając się na wszystkie strony, zauważył, że ramię miał ściśnięte bandażem. Był to świeży opatrunek, a spod niego wyciekał strumyczek krwi, który docierał aż do nadgarstka.

– Dość już tych bzdur! – zdenerwował się. – Gdzie my właściwie jesteśmy, w Wicklow?

Młoda kobieta potrząsnęła głową.

– Wicklow? – zdziwiła się. – A gdzie to jest?

– To las na południe... – westchnął mężczyzna.

– Na południe od czego?

– Żartuje sobie pani ze mnie czy co? Na południe od Dublina.

Alice popatrzyła na niego okrągłymi ze zdziwienia oczami.

– Naprawdę pan myśli, że jesteśmy w Irlandii?

Mężczyzna westchnął.

– Bo gdzie niby mielibyśmy być?

– No raczej we Francji! Niedaleko Paryża. Powiedziałaabym, że to las w Rambouillet albo...

– Co za bzdury! – przerwał jej mężczyzna. – A poza tym kim pani właściwie jest?!

– Jestem dziewczyną, która trzyma w ręku spluwę, więc to ja zadaję pytania.

Mężczyzna spojrział na nią wrogo, ale zrozumiał, że to nie on jest panem sytuacji. Zapadła cisza.

– Nazywam się Alice Schäfer, jestem kapitanem paryskiej policji kryminalnej. Spędzałam wieczór z przyjaciółkami na Champs Élysées. Nie wiem, gdzie jesteśmy i jak znaleźliśmy się

tutaj, spięci razem kajdankami. I nie mam pojęcia, kim pan jest. Teraz pan.

Po kilku sekundach wahania nieznajomy postanowił wyjawić swoją tożsamość.

– Jestem Amerykaninem. Nazywam się Gabriel Keyne, jestem pianistą jazzowym. Mieszkam w Los Angeles, ale często bywam w rozjazdach z powodu koncertów.

– Ostatnie wydarzenie, które pan zapamiętał! – przycisnęła go Alice.

Gabriel zmarszczył brwi i na dowód wielkiego skupienia zamknął oczy.

– No więc... Wczoraj wieczorem grałem z kolegami, z gitarzystą basowym i saksofonistą, w Brown Sugar... To taki klub jazzowy w dzielnicy Temple Bar, w Dublinie.

W Dublinie... Ten facet jest wariatem.

– Po koncercie usiadłem przy barze i pewnie wlałem w siebie sporo Cuba Libre... – Gabriel otworzył oczy.

– A potem?

– Potem...

Twarz Gabriela przebiegł grymas i mężczyzna zagryzł wargi. Najwyraźniej, podobnie jak ona, miał trudności z przypomnieniem sobie, jak skończył się wieczór.

– Niech pani posłucha... Nie wiem. Wydaje mi się, że miałem drobny zatarg z jakimś facetem, któremu nie podobał się mój sposób gry, potem zaczęła jakieś dziewczyny, ale byłem zbyt napruty, żeby wyrwać jakąś laskę.

– Klasa! Bardzo elegancko, naprawdę!

Mężczyzna machnął ręką i wstał, zmuszając Alice do tego samego. Szarpnęła ramieniem. Z powrotem opadli na ławkę.

– Wyszedłem z klubu około północy. Ledwo trzymałem się na nogach... Gdzieś na Aston Quay zacząłem szukać taksówki. Minęło kilka minut, w końcu zatrzymał się jakiś samochód i...

– I co?

– Nie wiem! – przyznał. – Pewnie podałem adres mojego hotelu i zasnąłem...

– A potem?

– Nie wiem, mówię pani, że nie pamiętam!

Alice opuściła pistolet i zamilkła. Trzeba było dłuższej chwili, żeby przetrawiła te złe nowiny. No cóż, ten facet raczej nie pomoże jej w rozwiązaniu zagadki, wręcz przeciwnie.

– Zdaje pan sobie sprawę, że wszystko to, co mi pan opowiedział, to kompletne bzdury? – westchnęła po chwili milczenia.

– A to czemu?

– Przecież jesteśmy we Francji!

Gabriel spojrział na otaczający ich las: pełno dziko rosnących roślin, gęste krzewy, ściany skalne porośnięte bluszczem, złote kopuły jesiennego listowia. Spojrzeniem pobiegł w górę zniszczonego pnia ogromnego wiązu. Dwie wiewiórki skakały z gałęzi na gałąź w pogoni za błękitnym drozdem amerykańskim.

– Jestem gotów założyć się o duże pieniądze, że nie jesteśmy we Francji! – rzucił, drapiąc się w głowę.

– Tak czy inaczej, jest tylko jedna metoda, żeby to sprawdzić!

– zdenerwowała się Alice, chowając pistolet i zmuszając Gabriela

do wstania z ławki.

Opuścili łąkę i weszli pomiędzy gęstwinę drzew i zarośli. Złączeni z sobą minęli pagórkowaty lasek, weszli na pnącą się w górę ścieżkę, potem zeszli w dół skalną drogą. Przeskakiwali przez strumyki, maszerowali krętymi ścieżkami i zajęło im dobrych dziesięć minut, żeby wydostać się z tego leśnego labiryntu. W końcu wyszli na wąską asfaltową alejkę obrośniętą drzewami, których korony tworzyły nad nimi liściaste sklepienie. W miarę jak posuwali się naprzód, coraz wyraźniej docierały do nich odgłosy cywilizacji.

I nagle niezidentyfikowany do tej pory szmer zmienił się w znajomy odgłos wielkiego miasta.

Pchana dziwnym przecuciem Alice pociągnęła Gabriela ku słonecznemu prześwitowi w listowiu. Światło przyciągało ich jak magnes. Po chwili znaleźli się nad obrośniętym trawą brzegiem jeziora.

Wtedy to zauważyli.

„To”, czyli łuk dużego żeliwnego mostu z gracją przerzuconego nad rozlewiskiem.

Był to długi kremowy most zdobiony arabeskami, z subtelną dekoracją w formie ukwieconych waz.

Ten most widzieli w setkach filmów.

Bow Bridge.

To nie był ani Paryż, ani Dublin.

To był Nowy Jork.

Central Park.

3

Central Park West

Pragniemy prawdy, a znajdujemy w sobie tylko niepewność.

BLAISE PASCAL, *Mysli*

– O Boże! – westchnął Gabriel. Na twarzy Alice malowało się zdumienie.

Nawet jeśli było to niewiarygodne, teraz nie mieli już wątpliwości. Obudzili się w samym środku Ramble, gęstego lasu, rozciągającego się na piętnastu hektarach z północnej strony jeziora, najdzikszego zakątka Central Parku.

Ich serca biły jednym rytmem jak oszalałe. Na alejce, do której doszli, panował zwykły poranny ruch. Zgodnie dzielili ją amatorzy joggingu, adepci tai-chi i mieszkańcy okolic, którzy jak zwykle wyprowadzali na poranny spacer psy. Nagle charakterystyczne odgłosy wielkiego miasta – szum przejeżdżających samochodów, klaksony, syreny wozów strażackich i policyjnych – prawie ogłuszyły Gabriela i Alice.

– To jakieś szaleństwo... – wyszeptała młoda kobieta.

Skonsternowana zaczęła się zastanawiać nad ich przedziwną sytuacją. Zgoda, z pewnością spędzili z Gabrielem mocno zakrapianą noc, do tego stopnia, że urwał im się film. Jednak wydawało się wręcz nie do pomyślenia, by ktoś wpakował ich na pokład samolotu bez ich zgody. Alice nieraz była na wakacjach w Nowym Jorku ze swoim kolegą z pracy i najlepszym przyjacielem, Seymourem. Wiedziała, że lot na trasie Paryż–Nowy Jork trwa ponad osiem godzin, i że trzeba jeszcze odjąć dwie godziny z powodu różnicy czasu. Seymour rezerwował najczęściej miejsca w samolocie, który wylatywał z lotniska Charles’a de Gaulle’a o ósmej trzydzieści rano, a lądował w Nowym Jorku o dziesiątej trzydzieści czasu miejscowego. Pamiętała również, że ostatni lot transatlantycki z Paryża jest trochę przed dwudziestą. A przecież poprzedniego wieczoru o ósmej była jeszcze w Paryżu. Musieli więc przylecieć tutaj prywatnym samolotem. Nawet jeśli wsadzono by ją do samolotu wylatującego z Paryża o drugiej w nocy, znalazłaby się w Nowym Jorku o czwartej nad ranem. Dostatecznie wcześnie, żeby obudzić się w Central Parku o ósmej rano. Teoretycznie to nie było niemożliwe. Ale rzeczywistość to inna historia. Nawet jeśli przylatywało się prywatnym odrzutowcem, skomplikowane formalności na granicy USA trwały bardzo długo. Coś tu się zdecydowanie nie zgadzało.

– Ups! Przepraszam! – Usłyszeli. Potrącił ich jakiś chłopak na łyżworolkach, rzucając jednocześnie podejrzliwe spojrzenie na kajdanki, którymi byli skuci.

W głowie Alice zapaliło się światełko alarmowe.

– Nie możemy tak stać tutaj pośród tych wszystkich ludzi – zdenerwowała się. – Za chwilę zatrzyma nas policja.

– Co pani proponuje?

– Proszę mnie wziąć za rękę, szybko! – rzuciła.

– Co?

– Proszę wziąć mnie za rękę, żebyśmy wyglądali jak para zakochanych, i szybko przejdźmy przez most! – zarządziła Alice, gwałtownie pociągając go za sobą.

Posłuchał jej i weszli na Bow Bridge. Powietrze było rześkie i suche. Trochę dalej odcinały się od czystego nieba sylwetki wspaniałych budynków Central Park West: dwóch bliźniaczych wież San Remo, mitycznej fasady Dakota Building i luksusowego apartamentowca Majestic z secesyjnymi oknami.

– Tak czy inaczej, musimy zgłosić się na policję! – powiedział Gabriel.

– Akurat sami pchalibyśmy się w paszczę lwa!

– Tak nakazuje zdrowy rozsądek, kotku!

– Jeszcze raz się pan do mnie tak zwróci, a uduszę pana tymi kajdankami! Zacisnę je na szyi i będę trzymać tak długo, aż pan wyzionie ducha! Nieboszczyk robi o wiele mniej głupstw, przekona się pan.

Zignorował tę groźbę.

– Ponieważ jest pani Francuzką, proszę przynajmniej zgłosić się do swojej ambasady!

– Najpierw muszę zrozumieć, co się naprawdę wydarzyło tej nocy.

– Ja nie zamierzam grać roli uciekiniera! Gdy tylko

wyjdziemy z parku, idę prosto na komisariat i mówię, co mi się przydarzyło.

– Naprawdę jest pan taki głupi czy tylko udaje? Może pan nie zauważył, ale jesteśmy skuci razem kajdankami! Jesteśmy nierozłączni i nierozdzielni, wbrew naszej woli zdani na siebie. Więc tak długo, jak jesteśmy razem, będzie pan robił to samo co ja.

Bow Bridge łagodnie łączył z sobą dzikie zarośla Ramble i pięknie uporządkowane ogrody na południu jeziora. Po drugiej stronie weszli na ścieżkę, która biegła wzdłuż brzegu akwenu aż do granitowej kopyły fontanny Cherry Hill.

– Dlaczego nie chce pani pójść ze mną na policję? – nie ustępował Gabriel.

– Bo niech pan sobie wyobrazi, że wiem, jak ona działa.

Muzyk się zdenerwował.

– Jakim prawem wciąga mnie pani w swoje ciemne sprawy?!

– W jakie ciemne sprawy? Możliwe, że wdepnęłam w gówno, ale pan wdepnął w nie razem ze mną, i to aż po szyję!

– Nie, to mnie nie dotyczy, nie mam sobie nic do zarzucenia!

– Ach tak? Skąd ta pewność? Myślałam, że nie pamięta pan nic z minionej nocy...

Gabriel jakby stracił pewność siebie.

– Nie ufa mi pani?

– Absolutnie nie. Pańska historia z barem w Dublinie nie trzyma się kupy, Keyne.

– Pani historia z barami na Champs Élysées jest równie nieprawdopodobna! A poza tym to pani ma zakrwawione ręce,